№ 15.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści beletrystycznej.



Warszawa, dnia 31 Marca / 12 Kwietnia 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda **Hösicka**, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

ZOFIA Z BRZOZÓWKI.

(Zofia z Chłopickich Klimańska).

(*Dokończenie*).

Jak ś. p. Zofia z Brzozówki pojmowała swoje stanowisko i obowiązki względem drugiego małżonka swego, wypowiedziała to z całą szczerością, w liście pisanym 18 października 1849 r. do jednego z bliższych przyjaciół, słowy, któremi tak zcharakteryzowała ten związek: „Znam tu pewną parę... Ona przesiąkła kiedyś zasadami poziomego świata, on zaś uciekł z niego duszą..... Na drodze swego żywota, który płynie bez szumu, poznał przypadkiem tę kobietę, będącą już tylko pękiem więdnących kwiatów; zebrał one, wyniósł na słońce, ożywił uchylone korony i dał im wieczne życie. Kobieta odczuła w nim dziecię Boże, odczuła swój ratunek w miłości dla niego, uczciła w nim prawdę, i odtąd, po jednéj nici, po jednéj strunie wiążącéj ich z Bogiem, idą, pną się w górę, on pierwéj, ona za nim, i tak kiedyś zejdą się u wierzchołka.”

Dla tego też to cała druga połowa życia ś. p. Zofii jest jedném, nieprzerwaném, jasném pasmem pracy, miłości chrześcijańskiéj i wysokiego duszy nastroju. Wiejskie ustronie w Dydeliszkach, od domu mieszkalnego, przytykającego do malowniczo rozrośniętych gajów brzozowych, nazwane przez nią *Brzozówką*, w ciągu długiego szeregu lat, było powabném siedliskiem literatury i sztuki, ochroną dla nędzy okolicznéj, ucieczką w chorobach i kłopotach gospodarskich, najgościnniejszą dla zjeżdżających się zdaleka literatów i artystów strzechą, a przedewszystkiem niewyczerpanym skarbem, ciągle słowem i czynem podsycanéj wiary w postęp, w tryumf duchowości nad materyalizmem. Ktokolwiek z bezstronnym i głębszym poglądem na rzeczy zajrzał tu choćby na krótką chwilę, musiał koniecznie podziwiać i uznać szczególny ustrój tego domu, niezwykłe jego ciepło wewnętrzne, błogo promieniejące nazewnątrz, dziwnie miłą jasność, przyświecającą każdéj niemal chwili, zapełnionego pracą, żywota.



Tysiąc wysp. (Str. 115).

Ledwo tam słońce wstało, już można było widzieć skrzętną gospodynię domu spieszącą gdzieś na folwark, dla dojrzenia własnemi oczyma rozmaitych robót gospodarskich, a w parę godzin potém, jeżeli to była pora wiosenna, otoczoną gronem dworskich dziewcząt, zajmującą się jak zwyczajna robotnica w pięknym swym ogrodzie okopywaniem, sadzeniem i pielęgnowaniem krzewów i kwiatów, które też pod umiejętną jéj ręką, rzadką za te macierzyńskie starania odpłacały się pięknością. W przedpołudniowych godzinach, jakby fizycznie utrudzona, siedziała pochylona nad rozłożonemi przed nią księgami i pismami, zajęta, bądź zbogaceniem umysłu nowemi wiadomościami, bądź własną pracą literacką, bądź wreszcie pisaniem ślicznych listów, których z Brzozówki niezliczona liczba rozchodziła się w różne strony. Przy obiedzie—długie, pouczające rozmowy, treści lite-

rackiéj lub społecznéj, a po wstaniu od stołu wędrówka do chorych miejscowych lub przejażdżka do ubogich w poblizkiéj mieścinie. Przed wieczorem powtórna wycieczka do zatrudnień gospodarskich i znowu parę godzin czasu poświęconych pióru. O zmroku pracowite i długie studiowanie nad wysoko rozwiniętym talentem muzycznym, który już w pierwszéj młodości niezwykłym zajaśniał blaskiem, a w końcu, po wieczerzy, w towarzystwie męża lub gości, nieraz do bardzo spóźnionéj pory, rozmowy treści wyższéj. Oto zwykły program codziennego życia ś. p. Zofii. Nie było w nim jednéj chwili marnie straconego czasu, nie było jednego drgnienia serca dla czczości i pustoty, nie było jednego, skrzętną gospodarczą pracą zdobytego, szeląga, wydanego bez pożytku dla innych, chociaż wydanego często z odmówieniem samym sobie rzeczy najniezbędniejszych!

Na takiéj moralno-duchowéj życia podstawie oparte autorskie powołanie Zofii z Brzozówki, nie mogło też być czémś inném, jak tylko echem silnego, szczerego poczucia prawdy, zacności obranego kierunku i miłości chrześcijańskiéj. Dla tego téż, tak przed laty kilkunastu, kiedy ogólny u nas nastrój ludzi pióra był więcéj intuicyjnéj treści, ona, w pierwszych swych pracach: *Kapeluszu cudownym.— Samojedach salonowych, Efekcie krytyki Hubińskiéj—* Życiorysie *Stanisława Bosołowskiego* i. t. p. najwybitniéj się śród plejady ówczesnych pisarzy odznaczyła wzniosłością zasad,—jak również i potém, ciągle, aż do saméj śmierci, nie zważając na zniżony diapezon ogólnego duchowego w piśmiennictwie nastroju, trzymała się niewzruszenie na swém stanowisku, z podniesioném w wyżyny natchnienia i prawie improwizacyjnéj werwy czołem, sercem i duchem. Ta to bodaj wytrwałość i gorące pragnienie utrzymania się na zdobytych wielkimi wysiłkami życia wyżynach umysłowych, była powodem rzadkiego już w ostatnich czasach ukazywania się jéj imienia, na widowni krajowego piśmiennictwa. Zaciasno, zaduszno jéj było w téj arenie autorskiego dyletantyzmu lub spekulacyi, więc występowała już tylko od czasu do czasu, albo z tłumaczeniami krótszych poetycznych utworów, swego ulubionego poety Wiktora Hugo, albo z artykułami czysto moralnéj lub utylitarnéj treści, w *Opiekunie Domowym i Gazecie Rolniczéj*. Śladem najwybitniejszym jéj, jakby niedość widocznie przewianego nad światem wyższego talentu i rzadkiéj intuicyjnego umysłu wzniosłości, pozostanie wielka liczba jéj własnoręcznych, obszernych listów, treści literackiéj, pisanych do różnych współtowarzyszów autorskiego zawodu.

Jeżeliby się komuś udało choćby tylko cząstkę tych korrespondencyj zebrać w jedną całość i ogłosić, utworzyłoby to skarbczyk najpoetyczniejszych i najwznioślejszych zadań i myśli, wzór dziwnie oryginalnego a pełnego estetycznych zalet stylu, i dałoby nam, zgarniętą w jedną gromadę, konstellacyą świetnych odblasków kobiecego dowcipu, wyrobionego tak na polu światowéj niegdyś, jak potém umysłowo-literackiéj, szermierki.

S. p. Zofia bynajmniéj nie z powołania została autorką, i śmiało twierdzić możemy, że w pierwszéj połowie swego życia ani jéj przez myśl przeszło, że praca literacka i pióro staną się dla niéj z czasem, nie zadaniem jéj życia, bo tego nie pragnęła i nie potrzebowała nigdy, ale źródłem najczystszéj rozkoszy duchowéj, płynącéj z przekonania, że praca jéj na tém polu piękne i pożyteczne wydaje owoce. Spokój cichego domowego życia, wewnętrzna potrzeba wypowiedzenia tego co duch w tajniach swoich opracował, pierwsze podały jéj pióro do ręki, a dwóch ludzi, którzy z różnem powodzeniem próbowali swego wpływu na literaturę naszą, posłużyli jéj za przewodników w tym samorzutnym polocie, rwącéj się do czynniejszego życia intelligencyi. Romuald Podbereski wydawał wówczas w Wilnie pismo zbiorowe pod tytułem: *Pamiętnika* albo *Rocznika naukowego*. Była to publikacya z drzeworytami, publikacya nie bez zajęcia i pewnych zasług, zwłaszcza, że w gronie swoim liczyła takich współpracowników jak: Onacewicz, Odyniec, Władysław Strzelnicki i inni. Jednocześnie p. Jakób Jurkiewicz, pod pseudonymem Benedykta Dołęgi, wydawał książkę zbiorową pod tytułem *Gwiazda*, z kierunkiem przeważnie polemicznym. Oba te pisma, z uwagi na pracowicie krzątających się około nich wydawców, zasługiwały rzeczywiście na życzliwość publiczności i na poparcie ze strony piszącéj współbraci. Tymczasem J. I. Kraszewski, mniéj jakoś przychylny tym obu pismom, umieścił w *Tygodniku Petersburgskim* ostrą krytykę *Pamiętnika naukowego*, obsypując najdokliwszymi sarkazmami artykuły samego Podbereskiego i jego siostry. Ta to krytyka pisma, które wyjście swoje zawdzięczało Zofii z Brzozówki (ona bowiem, idąc wspaniałomyślnie w pomoc niezamożnemu redaktorowi, cały koszt wydawnictwa poniosła, a nadto i cały nakład późniejszéj swojéj prześlicznéj pracy *„Kapelusza cudownego“* jemu także podarowała) natchnęła jéj bezczynne dotąd na literackiém polu pióro do napisania żarliwéj obrony *Pamiętnika* i jego urzędowego dla świata wydawcy. Obrona ta, z któréj zacne, szlachetne serce, prawdziwą apologią utworzyło, napisana w formie listu, wydrukowana w 4-m Nr. *Gwiazdy* p. n. *Efekt Hubińskiéj krytyki* i podpisana imieniem *Zofii z Brzozówki*, wyprowadziła pierwszy raz na jaw jéj imię, a wyprowadziła je w sposób dla autorki listu tak pochlebny, że wrażenie, jakie wywarła ta pierwsza próbka literackich zdolności Zofii Klimańskiéj, w liście p. Prusinowskiego, pisanym do J. Jurkiewicza 2-go Listopada 1849 r. ocenioném zostało w słowach: „List pani Zofji, to nie list, to improwizacya pięknéj, szlachetnéj duszy, godna jak najszerszego echa“...

Odtąd też imię Zofii z Brzozówki, bądź na oddzielnych wydawnictwach, bądź na artykułach, do rozmaitych literackiéj treści pism peryodycznych podawanych, zamieszczane, stało się imieniem które wszędzie, bo przez wydawców i przez czytelników, ze czcią, z serdeczném współczuciem było witane.

Drukowane prace ś. p. Zofii z Brzozówki są następujące: *List do Benedykta Dołęgi*, — *List do wydawcy Pamiętnika Naukowo-Literackiego*,—*Samojedy salonowe*,—*Obrazki miejskie i parafijalne* (Wilno t. 2. z tych jeden tylko wyszedł), — *Wnuczka przekupki* (Opiek. Dom. 1865),—*Marek Przygoda* (Kalendarz Rodzinny 1868), — *Mateuszek Zbiluta* (1870),—tudzież mnóstwo artykułów rozproszonych po rozmaitych pismach, tak krajowych jako i zagranicznych, pisanych w językach: polskim, francuzkim i niemieckim, a podznaczonych nazwiskami: *Zofji z Brzozówki*, *Zofji Jaskółki*, *Baltazara Miłejki* i t. d. albo też bezimiennych.

W rękopismach pozostały:

Dwie siostry,—*Obrazki współczesne* (tom. 3),—*Gawędka o szaréj godzinie*, — *Resztki zniklych szpargałów*, — *Anna z pod krzyża* (tom. 2),—*Urywki z dziennika*,—*Elfryda*, — *Gawędka parafijalna*,— *Wspomnienia z różnych czasów*, — *Brudny dukat i grosz wdowi*, — *Jedynaczka*,—*Chorzy i zdrowi*, — *Urywek z podróżnych notatek*,—*Ja-miętnik bioralisty*,—*Kilka słów o kilku dobrych ludziach*,—*Wojewoda*, poemat w 12 pieśniach,—*Co u nas było i jest od Piasta do dziś dnia* (tom. 3).—*Znaczenie emancypacyi i jaką u nas być powinna*,—*Stuletnia historya parafji* (tom. 2),—*Sztuka w Polsce* (tom. 2), — *Żywoty zasłużonych ludzi* .(tom. 3),—*Dzieje ludu naszego* (tom. 3), — *Mickiewicz i czas jego* (tom. 2),—*Wiek złoty w Europie i u nas* (tom. 2).

Pomiędzy dopiero wymionionemi pracami ś. p. Zofii, są niektóre co jak drogocenne perły pewnym, sobie tylko właściwym urokiem do siebie pociągają. Na tych czele stoi *Kapelusz cudowny*, szkic obyczajowy, który sam jeden mistrzowską stworzony ręką, zapewnia autorce jedno z zaszczytniejszych miejsc w naszém piśmiennictwie. A była to przecież jedna z jéj najpierwszych prac na tém polu, na którém się późniéj tak chlubnie odznaczyła, obdarzając nas utworami, z których prawie wszystkie noszą na sobie ślady prawdziwego talentu. Stanowisko jéj w literaturze bieżącéj, uwydatnia się głównie silném, niczém niezachwianém poczuciem prawdy i zacnością kierunku. Każdy z jéj utworów jest jakby improwizacyą świadczącą, że ona nigdy nie wzięła pióra do ręki bez natchnienia, bez przekonania o wzniosłości swego posłannictwa. Nigdzie też, choćby w najdrobniejszym z jéj utworów nie dojrzymy przymusu, nigdzie nie dopatrzymy się téj sztywnéj, wymuskanéj urzędowości literackiéj, z któréj tak często wieje chłód nałogowego autorskiego rutynizmu.

Jak pojmowała życie i obowiązki obywatelki, dosyć jest przytoczyć: że pięciu młodzieńców oddawała do uniwersytetu, jedenastu do gimnazium, a pięć dziewcząt ukończyło pensyą jéj kosztem. Potrzebujemyż jeszcze wspominać ile ona w ciągu swego pięknego żywota otarła łez prawdziwemu nieszczęściu, ile przyniosła pociechy strapionym? Są to czyny, których tylko osoby bliższe były świadkami, a jednak czyny te postawiły ją tak wysoko, że wiadomość o jéj zgonie, całą okolicę miejsca jéj zamieszkania, ogólną, szczerą pokryła żałobą, żałobą, którą i my długo, długo w sercach i pamięci naszéj przechowywać będziemy.

Oskar Stanisławski.

WIOSNA.

Błyszczą krople rosy,
Mruczy zdrój po błoni,
Ukryta we wrzosy
Gdzieś jałówka dzwoni.

Piękną, miłą błonią
Leci wzrok wesoło;
W koło kwiaty wonią,
Kwitną gaje w koło.

Paś się, błąkaj trzódko,
Ja pod skałą siędę,
Piosnkę lubą, słodką,
Śpiewać sobie będę.

Ustroń miła, cicha!
Jakiś żal w pamięci,
Czegoś serce wzdycha,
W oku łza się kręci.

Łza wybiegła z oka,
Ze mną strumyk śpiéwa,
Do mnie się z wysoka
Skowronek odzywa.

Jakże ładny, chyży...
Ledwo widny oku...
Coraz wyżéj, wyżéj,
Już zginął w obłoku.

Uleciał, szczęśliwy!
Tam swą piosnkę głosi...
I ziemi śpiew tkliwy
Do niebios zanosi.

Stefan Witwicki.

TYSIĄC WYSP.

W Ameryce północnéj, jadąc statkiem parowym po rzece Świętego Wawrzyńca, rano, przy wschodzie słońca olśniewający dla podróżnika przedstawia się widok. Naokoło nie ujrzysz prawie nic, jak tylko szmaragdowy blask zielonych brzegów. Zdaje się, że parostatek nigdy nie znajdzie już wyjścia, z otaczających go myriadami, ze wszech stron, wysp. Zachwycający krajobraz! Płyniesz w pośród samych drzew i najcudniejszego cienia zieloności — i pytasz się zdumiony, co to jest— co za czar, na téj drugiéj półkuli ziemi? — Jest to archipelag *tysiąca wysp*, odznaczających się sławną swoją gęstwiną lasów i najwspanialszą, podzwrotnikową prawie roślinnością — którego drzeworyt, w obecnym Numerze Opiekuna, czytelnikom naszym podajemy.

ŻÓŁTY WUJASZEK.

OPOWIADANIE,

przez

Władysława Łozińskiego.

(Dokonczenie).

Zauważyłem spojrzenie pana generała, ale nie tracąc wcale kontenansu, posunąłem się z rezonem daléj i z głębokiém poszanowaniem skłoniłem się.

Podnosząc głowę do góry, spotkałem się ze wzrokiem Szalborskiego.

Stał blady jak trup, z oczyma wysadzonemi na wierzch od zdziwienia, z twarzą zmienioną od przestrachu, z włosami najeżonymi, cały drżący i jakby porażony...

Rzuciłem mu spojrzenie tryumfujące, a kłaniając się powtórnie generałowi, rzekłem:

— Mości generale! Przybywam nieznany i niespodziewany, a przedstawiam się w sposób, który słusznie zadziwić a nawet gniewać może JW. pana generała. Przepraszam tedy najuniżeniéj, bo nie dla braku respektu to się stało, ale ze zbiegu przygód moich.

Generał patrzał na mnie ciągle z zdziwieniem.

— Gdybym był korzystał z dobroci pana mecenasa Szalborskiego—ciągnąłem daléj—który był tak łaskaw, że sprokurował mi zastępcę u ramienia panny Heleny Oleszanki, pokrewnéj JW. pana generała, byłby stanął tu młodzieniec z pod igły, stołeczny elegant, jak cacko. Nie podobało mi się jednak to zastępstwo, i zamiast owego gagatka staje przed JW. panem generałem Józef Marski.

I ukłoniłem się znowu z uszanowaniem.

Generał nic a nic nie rozumiał z całéj téj sceny.

— Co to ma znaczyć... Nie pojmuję aspana?... — wtrącił gniewnie.

— Nie pozostaje mi nic innego, jak prosić pana Szalborskiego, aby wytłumaczył JW. panu cały stan rzeczy—odpowiedziałem.

Generał się obrócił i szukając oczyma Szalborskiego, zapytał:

— Szalborski, co to jest?

Ale Szalborskiego już nie było...

Podczas gdy ja mówiłem do generała i nie odwracałem oczu, Szalborski, milczkiem i chyłkiem, po za plecyma obecnych, wysunął się i umknął...

— Gdzie Szalborski?—zapytał Generał.

— Uciekł podlec!— zawołałem. — Generale, wysłuchaj mnie, odkryję ci nikczemną intrygę, któréj i ty jesteś ofiarą...

— Nie znam waści i nie rozumiem ani słowa... Hej! panie Kremoitz, pobiedz za Szalborskim, dogonić go i przystawić tu natychmiast!

Polecenie zostało natychmiast wykonane, a ja rzekłem śmiało:

— Dobrze JW. panie generale! Niechaj stanie tu ten szalbierz ku upokorzeniu i sromocie swojéj. Wymaga tego sprawiedliwość, aby on, co uknuł tak haniebną zdradę, świadkiem był mego opowiadania i ukarany był widokiem, jak podstęp jego przeciw niemu samemu się zwraca...

Nie minęło kilka minut a Szalborskiego przywlokła gwałtem służba generała.

Wyglądał jak zbrodzień schwytany na gorącym uczynku. Drżał na ciele całém, a pot kroplisty oblewał mu skronie.

— Czy znasz tego człowieka?—zapytał żółty generał szorstko i groźnie...

Szalborski pobladł jeszcze bardziéj i począł się jąkać...

— Nie... to jest... znam... ale chciéj mi wierzyć JW. panie generale... Tylko najlepsze chęci dla téj sprawy...

— Coś mi wasze djabelnie bałamucisz, wyraźnie jakby sumienie plątało język!...

I zwracając się do mnie, rzekł rozkazująco:

— Opowiadaj aspan.

— JW. panie generale—wtrącił Szalborski—proszę uniżenie wysłuchać mnie, oddaliwszy tego człowieka... Jest to...

— Milczeć!—zawołał generał, uderzając nogą o podłogę. — Jemu mówić kazałem.

Szalborski skręcił się jak wąż. Spuścił oczy ku ziemi i stał jak zbrodzień pod pręgierzem.

Zacząłem opowiadać Począwszy od mego pierwszego wyjazdu ze Lwowa, opowiedziałem generałowi wszystko dokładnie.

Żółty wujaszek, który był usiadł, słuchał z wielkiém zajęciem; a gdy opowiadałem o jego konterfekcie w Basztokolu, o szczególnym wypadku, który mnie do jego domu na nocleg sprowadził, o widziadle nocném przed zwierciadłem, o podsłuchanéj rozmowie, która mi do wykrycia intrygi posłużyła i t. d., porwał się aż z krzesła z zdziwienia wielkiego i zawołał:

— A to szczególna! A to mi zrządzenie!

I zwracając się do pana Kremoitza dodał:

— *Verstehen Sie, Herr Lieutnant?*

— *Curios, curios, Herr General!?* powtarzał tłusty, siwy Niemiec, który się tyle przy swym generale nauczył po polsku, że mnie trochę rozumiał—i kiwał głową bezustannie.

Gdy skończyłem, rzekł do mnie generał łaskawie:

— Podobasz mi się Waść... Ale czy to prawda?

— Co do joty, na moję cześć szlachecką, JW. panie generale!

Żółty generał zwrócił się do Helenki, przystąpił do niéj i zapytał:

— Czy prawdę mówi?...

— Prawdę, panie generale—rzekła Helenka.

— Nawet i to prawda, co mówi o wzajemnym afekcie aspanny?—zapytał generał, uśmiechając się żartobliwie i gładząc twarzyczkę Helenki.

— Prawda...—szepnęła Helenka i rumieniec wstydu oblał jéj nadobne a blade dotąd liczka.

Generał przystąpił teraz do Szalborskiego.

— I cóż ty na to infamisie!—zawołał groźnie.

Szalborski był blizki zemdlenia. Drżał od trwogi i daremnie usiłował wydobyć z siebie odpowiedź...

— Panie Kremoitz—zawołał generał — wziąć mi tego łotra pod areszt na noc, a jutro odstawimy go gdzie należy...

I zrobił dłonią ruch rozkazujący...

Dwa żylaste niemczyska uchwyciły w téj chwili Szalborskiego i wyprowadziły go z sali.

— A teraz witajcie mi państwo młodzi—rzekł do nas uprzejmym uśmiechem żółty wujaszek.—Pójdź tu Helenko, moje dziecko; podobnaś do matki swéj, a siostry mojéj... Taka piękna jesteś, jak ona była w młodości... Dawne to dzieje, dawne dzieje!

I obejmując z rozrzewnieniem Helenkę w ramiona, ucałował ją z ojcowską czułością w czoło.

— Podaj mi dłoń, kawalerze, — rzekł potém do mnie — zuch waćpan jesteś i zasłużyłeś na tak piękną dziewczynę...

Uchyliłem kornie czoło przed starcem i po dawnym obyczaju z respektem ucałowałem dłoń generała. On poklepał mnie łaskawie po ramieniu i potém rzekł:

— A teraz pobłogosławię wam z serca moje dzieci...

— Daruj JW. panie generale — podchwyciłem—ale pofolgować muszę sobie jedną jeszcze uwagę... Jeżeli życie narażałem za Helenkę, to dla tego, że ją kocham nad życie. Teraz gdyś ją JW. generale uczynił panią znacznego majątku, gotów jesteś może przypuszczać że czyniłem nieco z chciwości... Przyjmę błogosławieństwo twoje generale, gdy Helenka tak będzie ubogą jak przedtém...

— Jestem taką!—zawołała Helenka.—Przebacz panie generale, wuju mój kochany, ale zapisu twego nie przyjmuję.... Mamy dość z Józefem, aby żyć skromnie i szczęśliwie...

— No, no, moje dzieci, porzućcie te skrupuły — rzekł generał—ufam w charakter waćpana. Nie smućcie starego, gniewałbym się bardzo, gdybyście datkiem wzgardzili. Zda on się młodej gosposi, choćby na posag dla przyszłéj córeczki.

Helenka spłonęła szkarłatem wstydu i dłonią oczki zakryła.

— A teraz rozgośćcie się u mnie i odpocznijcie po tylu awanturach — oszczędzając Helenkę, dodał generał — Hola! wieczerza! Wypijemy za zdrowie żółtego generała! — dodał z dobrodusznym uśmiechem.

Przeszliśmy do pokoju, w którym zastawiona była suta wieczerza cukrowa, przygotowana widocznie na weselne gody. Żółty wujaszek był w wyśmienitym humorze i palił nawet koperczaki do panny Agnieszki, wprawiając ją tém w arcyzabawny ambaras.

Ile było opowiadań i wynurzeń przy stole, ile szczęścia i radości, i jak smaczny był w końcu sen po tylu burzliwych przeprawach, o tém zda się, nie ma co opowiadać.

Mamże jeszcze ciągnąć daléj, tłumaczyć wszystko i szczegółami uzupełniać?...

Wątpię bardzo aby to komu było pożądaném, bo każdy już teraz całego składu rzeczy się domyślił.

Nie będę tedy nudził komentarzami — ale pokrótce dołożę, co dołożyć koniecznie potrzeba.

Owoż nasamprzód powiedzieć muszę, że Szalborskiego zaraz nad ranem kazał generał odstawić na odwach, i to na ten sam, gdzie ja w srogiém udręczeniu całą dobę spędziłem.

Oddano go ztamtąd do sądu — ale—proszę sobie wystawić — wypuszczono niebawem.

Było oczywistą rzeczą że był sprawcą oszustwa, chcąc dla swego syna, z którym jako próżniakiem i gagatkiem nie mógł sobie dać rady, sprokurować posażną żonę i tym sposobem ulżyć sobie ciężaru z karku. Ale umiał się krętacz tak dobrze wywijać, że mu nic zrobić nie było można.

Dowiódł rabulista czarno na białém, że wszystko robił prawnie i za zezwoleniem władzy! Jakoż, tak było istotnie, bo niecnota, przed porwaniem Helenki, wyrobił był sobie, na wieść o śmierci jéj dziadka, najlegalniejszy w świecie akt opiekuństwa, a od generała miał nadto formalne pełnomocnictwo.

I oto, zamiast pokutować w turmie, nietylko że wyszedł, ale wytoczył zaraz kilkanaście pozwów przeciw mnie i panu generałowi Suchorzewskiemu, o kryminał, o gwałt, o pokrzywdzenie, o szkody najrozmaitsze, i tak daléj bez końca.

I gdyby nie wpływ generała, byłbym się musiał włóczyć po terminach, od Anasza do Kaifasza, Bóg wie jak długo, a nareszcie możebym skórą i mieszkiem własną krzywdę opłacił!

U żółtego wujaszka zabawiliśmy z Helenką dzień jeden cały a potém pospieszyliśmy do ulubionego Basztokola.

Żółty generał pojechał do Drezna, ale obiecał święcie przybyć na ślub i wesele, które się za miesiąc odbyć miało w Basztokolu.

Dotrzymał też słowa i przyjechał.

Gdy ksiądz Ignacy związał dłoń Helenki z moją, przeszliśmy do obszernego dworku nieboszczyka pana marszałka Oleszy.

Izba bawialna była pięknie przystrojona, a na ścianie wisiał naprzeciw miejsca honorowego konterfekt żółtego wujaszka z baszty, który ja powtórnie jak najpiękniéj odnowiłem.

Generał nie posiadał się z zdziwienia, gdy ujrzał siebie samego na ścianie, ustrojonego w wieńce i kwiaty.

Tak się rozczulił stary, że aż płakał i ustawicznie nas ściskał i całował.

Ale niedługo zabawił w Basztokolu. Pojechał znowu do Saksonji i już się do nas nigdy nie zgłaszał, choć ja i Helenka pisaliśmy do niego kilka razy.

Jak się później ze słuchu dowiedziałem, popadł znów pod samą śmierć w ręce jakiejś pięknéj Niemkini, która cały majątek po jego zgonie zabrała. Dostałem też list od pana lejtnanta Kremoitz, wraz z paczką, w któréj były dwa przepyszne złotem i emalją bogato wykładane pistolety. Generał darował mu całą swoję zbrojownię przed śmiercią, a poczciwy Niemiec przysłał mi z niéj te pistolety na pamiątkę.

Powiesiłem je w sypialnéj izbie, tuż pod konterfektem żółtego wujaszka.

KONIEC.

ZAMEK W SZYMBARKU.

W Galicyi, w obwodzie jasielskim, pomiędzy Gorlicami a Grybowem, przy głównym trakcie prowadzącym z Jasła do Sącza, nad rzeką Ropą, leży niewielka wieś Szymbark. Okolica téj wioski jest bardzo malownicza. Otacza ją wieniec pagórków, łączących się z podgórzem Karpat, poprzerywanych wyłomami i wąwozami, dodającymi całemu krajobrazowi rozmaitości i wdzięku. Środkiem doliny, rozścielonéj u stóp tych pagórków, pomiędzy łąkami i zagonami ornéj roli, snuje się srebrna wstęga Ropy, bystréj i dosyć głębokiéj rzeki, uchodzącéj pod Jasłem do Wisłoki. W nurtach Ropy przeglądają się wyniosłe, zczerniałe mury zamku, największéj ozdoby Szymbarku, który wiernie przedstawia nasza rycina. Zamek Szymbarski zbudowany jest w czworobok, mając na każdym rogu wysoką basztę, i znajduje się w dosyć dobrym stanie. O założeniu tego poważnego gmachu i o dziejach jego, nie wiemy nic wcale, albo tyle co nic. Podanie niesie, że istniał tu już przed wielu wiekami zamek wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego. Od tego czasu przechodził on zapewnie rozmaite losy i jak wszystkie współczesne mu zamki, bywał nieraz spustoszoném rumowiskiem i napowrót z gruzów się dźwigał. Tak, w XVII wieku miał go Rakoczy, po krótkiém oblężeniu, zdobyć i zburzyć ze szczętem. Czy dzisiejszy zamek Szymbarski stoi na posadzie dawnego Kazimierzowskiego zamczyska i ilu on od tego czasu uległ przekształceniom—wszystko to jest tajemnicą. W kronikach nic o jego dziejach nie zapisano, a podania, jeżeliby jakie były—przebrzmiały. Dzisiejsi właściciele Szymbarku założyli w nim gorzelnię, a po komnatach zamku, miasto rycerskiéj wrzawy i ochoty biesiadnéj, kipią dziś i szumią machiny parowe,—pełne kufy gorzałki i kadzie zacierowe, zastępują miejsce dawnych rynsztunków!

HAMLET.

TRAGEDYJA SZEKSPIRA W PIĘCIU AKTACH.

Dnia 24 Marca r. b. ujrzeliśmy na naszéj scenie Hamleta, jedno z największych arcydzieł najznakomitszego dramaturga nowszych czasów. Na przedstawienie Hamleta publiczność czekała z niecierpliwością dość długo i powitała go z tém większym zapałem, że arcydzieła Szekspira są fenomonalném zjawiskiem na naszéj scenie, choć gdzieindziéj stanowią one najważniejszą część repertuaru.

Powitawszy pojawienie się Hamleta z jak najżywszą radością, cieszymy się nadzieją, że i więcéj utworów Szekspira ujrzymy na naszéj scenie, a publiczność zawsze znajdować w nich będzie pełne duchowego pożytku zadowolenie, na przekór tym, niby znawcom i lubownikom teatru, którzy rozbałamuceni ckliwymi dramatami nowoczesnymi, drażniącymi tylko ciekawość, przez swą powikłaną intrygę, oraz komedyami niedorzecznemi, zaprawionemi żartem, nudzą się Szekspirem, twierdząc, iż sztuki jego, jakkolwiekЂsą arcydziełami, przeżyły już swój wiek i dziś dla nas są niezrozumiałemi. Tymczasem prawdziwe arcydzieła, choćby nawet z niebardzo odległych czasów, mają to do siebie, że do ich zrozumienia potrzebną jest przedewszystkiem pewna praca duchowa, wczytanie się, wpatrzenie lub wsłuchanie się, które dla wielu, szukających w sztuce lekkiéj tylko dla poziomych umysłów rozrywki, jest rzeczą niemiłą, bo zmusza ich do myślenia, zastanawiania się i studiów. — Genialny dramaturg XVI stulecia jest w dziełach swych przedewszystkiem głębokim znawcą duszy ludzkiéj, wnętrza człowieka. Stąd, dla lekko rzeczy biorących ludzi, wydaje się sfinksową, zagadką — gdy prze-



Zamek w Szymbarku. (Str. 116).

ciwnie, dla ludzi głębiéj w istotę rzeczy wnikających, jest jasnym obrazem człowieczeństwa, niesłychanie trafnym, w tych zwłaszcza szczegółach, które tylko genialnemu oku są dostępne. — Prawdziwe zrozumienie Szekspira w całéj pełności, jest więc tylko udziałem wykształconych i myślących umysłów; zkąd jednak nie wypada, aby on był całkiem niedostępnym i dla reszty ludzkości.

Dla tego o żadnym z nowszych poetów nie pisano tylu artykułów, rozpraw a nawet dzieł obszernych, co o Szekspirze — i słusznie, bo większa część czytelników i widzów potrzebuje ułatwienia w zrozumieniu jego genialnych utworów. Wiele przytém szczegółów, dostępnych dla współczesnych, dziś stało się już niejasnymi, z powodu ich zbyt ścisłego związku z wiekiem. Dla tego też nieraz komentowanie pojedynczych miejsc i ustępów jest rzeczą nadzwyczaj pożądaną. Jednakże piszący o Szekspirze wpadają często w dwa błędy, w skutek których chybiają swojego celu: albo, chcąc błyszczeć oryginalnością, wnoszą do niego swe własne uprzedzenia i upatrują tam rzeczy, o których autor ani myślał,—albo słuszne i sprawiedliwe poglądy roztapiają w masie słów i frazesów, szukając raczéj pola dla popisu z własną erudycyją i filozoficzną przenikliwością, aniżeli dbając o wytłumaczenie tego, co prawdziwie niejasném być może. Czytelnik w jednym i drugim razie wychodzi nieobjaśniony. I więcéjby zaiste skorzystał, gdyby poprzestał na uważném wczytaniu się w samego Szekspira, niż przez oglądanie się na takie i tym podobne komentarze.

Nie siląc się na oryginalność pomysłów i nie pragnąc bynajmniéj zabłysnąć jakąś nową konjekturą, postaramy się jedynie dać w obecnym artykule kilka uwag, któreby posłużyły dla czytelnika jako pewna wskazówka, ułatwiająca mu zrozumienie dramatu...

Hamlet, był jednym z najwcześniejszych utworów Szekspira. Pierwsze jego opracowanie miało powstać r. 1584, kiedy poeta miał lat dopiero dwadzieścia. Tragedyą tę opracował Szekspir po raz drugi, po kilkunastu latach, już w zenicie swéj działalności, po przejściu wielu bolesnych nieraz doświadczeń życia. W drugiéj postaci miała się ona ukazać 1598 r. Przedmiot wziął autor z duńskiego podania, zachowanego w historyi Danji, mnicha Saxona Grammatyka, żyjącego w końcu XII-go wieku. Według téj sagi Hornvendell jarl, czyli wice król Jutlandyi, zamordowany został przez brata swego Fengona, który występował niby w obronie ciemiężonéj przez męża królowéj Geruty, przez co pozyskał i tron i rękę żony zamordowanéj ofiary. Młody Amlet, jedyny syn Hornvendella, czując że położenie jego jest niebezpieczném, udawał obłąkanego, chcąc przez to uśpić obawy swego stryja. Fengo nie ufał jednak Amletowi. Wystawiał więc na próby jego szaleństwo, a między innemi nasyłał na niego nawet piękną dziewczynę. Lecz próby te były bezskuteczne. Wzięto się więc na inny sposób: Jeden z dworaków miał, ukryty za zasłoną łoża, podsłuchać Amleta, w czasie rozmowy poufnéj z matką. Ale ten, udając niby w obłąkaniu koguta, skoczył ku zasłonie i trzepocząc rękami, niby skrzydłami, kiedy namacał pod nią coś żyjącego, dobył miecza i przebił ukrytego dworaka. Król postanowił w skutek tego pozbyć się młodzieńca. Wysłał go więc do Anglii z listami, czyli tabliczkami, naznaczonemi runicznem pismém, polecając królowi angielskiemu aby go niezwłocznie stracić kazał. Lecz Amlet w czasie podróży wykradł ów list, w miejsce jego podsunąwszy drugi, w którym proszono króla, aby młodzieńcowi dał swą córkę za żonę, a strzegących go towarzyszów śmiercią ukarał. Amlet powrócił wkrótce do Jutlandyi, zamordował po uczcie upojonego króla, a pałac wraz z dworakami spalił do szczętu. — Dalsze losy Amleta, jego awanturnicze swaty u Hermutrudy królowéj szkockiéj i śmierć w walce z Wigletem królem Danii pomijamy, gdyż z tych szczegółów Szekspir nie korzystał wcale.

Saxo Grammatyk fakt ten kładzie mniéj więcéj na 1000 lat przed Chrystusem.—Z tego to podania Szekspir wziął tylko pomysł i kilka szczegółów, na których osnuł tragedyją, tak dalece różną duchem od owéj sagi duńskiéj, iż bynajmniéj za złe mu poczytywać nie możemy, że przeniósł całe to zdarzenie w nowsze czasy, w czasy przejścia od romantycznéj średniowieczności do nowszego ustroju społecznego. Bohater jego nie ma w swym charakterze nic wspólnego z podaniowym Amletem, osobistością zupełnie podobną w duchu do normańskich awanturników, tak częstych w dziejach średnich, osobistością chytrą, przedsiębiorczą, czynną i energiczną.—Jest on dzieckiem nowożytnego ducha, dzieckiem czasów, w których praca myśli przeciwważa działalności ręki i oręża. Charakterystyka Hamleta niejednokrotnie zabijała ćwieka w głowę komentatorom, którzy w bohaterze Szekspira widzieli, to potworną i skrzywioną osobistość, niezdolną do czynu, a jego udane szaleństwo brali za istotne obłąkanie, to znów upatrywali w nim nadludzki heroizm, lwiéj, energicznéj duszy, siląc się na oczyszczenie go ze wszelkiego zarzutu. Charakter Hamleta, będący arcydziełem Szekspira, pojętém z niesłychaną trafnością i przeprowadzoném z dziwną konsekwencyją, zawiera w sobie na pozór tyle sprzeczności, że te rzeczywiście mogą wprawić w rozpacz komentatora, nie umiejącego patrzeć na Hamleta z właściwego psychologicznego stanowiska. — Królewicz duński jest doskonałym obrazem szlachetnego ducha, w którym myśl jednostronnie rozwinięta jest ze szkodą energiczności woli, a uczucie zmącone stratą idealnych pojęć o świecie. Jedyny syn bohaterskiego króla, wychowany tak, że głównem zajęciem jego była nauka i sztuka, już za młodu nie bierze udziału w walkach swego ojca, ale znajduje rozkosz w przedstawieniach dramatycznych (na sztuce teatralnéj zna się wybornie) a potém jedzie na uniwersytet bo Wittenberga. Jasna rzecz, że zamiast zaprawiać się w wojennych trudach do przyszłéj działalności, Hamlet rozwija w sobie głównie myśl, przyucza się zastanawiać nad światem i ludźmi i zatapia się w rozważaniu głębokich zagadnień. Szlachetny duch jego musiał się kąpać w młodości w ideałach, marzyć o wcieleniu i urzeczywistnieniu swych wysokich pragnień, tém więcéj, że w ojcu widział człowieka, *jakiego drugiego nie ma na świecie.* Naraz ojciec ten umiera, a matka w krótkim czasie wychodzi za mąż za stryja, który tak niepodobny jest do brata, jak *Satyr* do *Hyperiona.* Hamlet miał wtedy już lat 30. W tym wieku nieraz daleko drobniejsza okoliczność rozbija złudzenia młodzieńcze. O ileż więcéj stać się musiało z Hamletem, który w krótkim przeciągu czasu traci ukochanego ojca, tron należący mu się z prawa, a co najważniejsza, cześć dla własnéj matki, tak prędko pocieszającéj się po stracie najlepszego z mężów i oddającéj rękę człowiekowi, będącemu czystém przeciwieństwém bohaterskiego króla. W złamaną duszę młodzieńca wpija się gad zwątpienia i rozpaczy, ideały padają w gruzy, obrot świata wydaje mu się *nudnym, nędznym, lichym* i *jałowym.* Swiat dla niego jest *niepielonym ogrodem, samym tylko bujnie krzewiącym się chwastem zarosłym.* W Hamlecie, obok rozwiniętego jednostronnie pierwiastku myśli, panuje jeszcze melancholiczny temperament, którego cechą zawsze jest nadzwyczajna drażliwość uczucia, wyradzająca się w cierpki, ironiczny humor, który we wszystkich jego rozmowach z królem, matką, dworakami, dziwnie miesza się z głębokimi na świat poglądami i bystrością jego umysłu.

Hamlet, choć nie wie nic o spełnionéj zbrodni, ma jednak jakieś przeczucie złowieszcze,—a zjawienie się ducha, odkrywa mu całą prawdę i wkłada obowiązek czynu, zemsty, ukarania niegodziwego zbrodniarza. Młodzieniec i z charakteru i z wychowania swego nie mógł rozwinąć w sobie energicznéj woli, a stan chorobliwy duszy, wtrąconéj w odmęt czarnych myśli, jeszcze bardziéj nie sprzyjał wysiłkom woli, tyle koniecznym do czynu. I choć Hamlet w pierwszéj chwili, chciałby na *skrzydłach chyżych jak modlitwa, lub myśl kochanka podążyć ku zemście,* nie jest on jednak zdolnym do tego jak piorun szybkiego czynu i dla tego zwleka go, odkłada już to niby z ostrożności, już ze skrupułów, chcąc się przekonać czy to wszystko nie jest złudzeniem złego ducha (ku czemu używa przedstawienia teatralnego). Już nawet w imię saméj zemsty, w stósownéj chwili, gdy król klęczy i modli się, *mógłbym,* mówi, *posłać go w takim stanie do nieba, a to nie byłoby zemstą za zgładzenie ojca, zabitego we śnie bez żalu i pokuty za grzechy.* Król ginie z ręki Hamleta, ale traf tylko, a nie obmyślany zamiar, sprowadza czyn, tak ciążący na duszy młodziana. On sam ginie przytém w skutek zdradzieckiego podstępu króla, który mimowoli zgotował zarazem zgubę i żonie swéj i sobie samemu. Jakże to wielka prawda życiowa! Zbrodniarze i łotry o ileż przewyższają nieraz najszlachetniejszych ludzi w umiejętności dochodzenia do swoich celów—i dopinają ich nawet niestety. Lecz na szczęście, Opatrzność sprawiedliwa—jakby mszcząc się na wyrzutkach społeczeństwa, rzuca gromami kary tam i w téj właśnie chwili, kiedy zbrodniarz sądzi, że zapewnił sobie najzupełniejsze bezpieczeństwo.

Z powyższego stanowiska, Hamlet jest jasno pojętą i dokładnie wykończoną postacią. Sprzeczności pozorne są koniecznością jego natury. Wzgarda dla ludzi, a nawet dla samego siebie, pragnienie samobójstwa, jako środka wyjścia z tego zamętu w duszy i rzeczywistości na około siebie, pewna nieludzkość przebijająca się w odtrąceniu Ofelii, w małym żalu nad omyłką, popełnioną w zabiciu Poloniusza, w posłaniu Rozenkranca i Gildensterna na pewną śmierć, — wszystko to jest przyrodzonym wynikiem stanu duszy, zamkniętéj na wszelki jaśniejszy promyk wiary i nadziei.—Odtrącenie Ofelii chciano sobie tłumaczyć w najrozmaitszy sposób. Przypisywano jéj winę, sądzono że Hamlet, szydzący tak nielitościwie z Poloniusza planów wyniesienia się za pomocą swéj córki—i w niéj widzi spólniczkę ojcowskich zamiarów—ale nam się zdaje, że o tém Szekspir nie myślał. Hamlet w skutek winy matki, czarno patrzy na cały ród kobiecy, a w obec czynu który na nim ciąży, miłość dla kobiety wydaje mu się czémś zbyt błahém, czego człowiek w obec

tak wielkiego zadania wyrzec się musi—i dla tego odtrąca ją. Cierpkie słowa, jakie wypowiada, odsyłając ją do klasztoru, nie upoważniają wcale do wyciągania wniosków uwłaczających Ofelii, ale są one raczéj wyrazem ogólnego pojęcia o kobietach, jakie pessymistyczny królewicz w sobie żywi.

Ofelia, nakreślona kilką tylko genialnymi rysami przez Szekspira, była przedmiotem najrozmaitszych domysłów i wniosków, postacią, nad którą łamali głowy komentatorowie. Szekspir może się ani domyślał jakiego figla zbyt przenikliwym umysłom wyrządził, przez samo naszkicowanie tylko Ofelii. O przypisywaniu jéj udziału w planach ojca, mówiłem już wyżéj.—Z piosnki w czasie obłąkania, wyciągano domysł, powątpiewający o czystości jéj stosunku z Hamletem. Wszystko to zdaje nam się niesłusznêm, niegodnêm z myślą Szekspira. Ofelia nie jest wprawdzie żadną nadzwyczajnością, nie mogłaby ona potęgą swego wpływu uratować swego kochanka, ale jest to słodka, tkliwa dusza niewieścia, któréj delikatne struny nie wytrzymały strasznych ciosów losu, któréj serce pękło i pociągnęło za sobą ruinę umysłu, a śmierć w falach potoku ukołysała tylko do snu biedną istotę, która już nie miała po co żyć na świecie. Piosnka o dniu św. Walentego, śpiewana w obłąkaniu, nie jest bynajmniéj według nas, zdradzeniem niekorzystnéj dla niéj tajemnicy. W Hamlecie nic nie objawia takiéj grubéj zmysłowości, któraby kazała przypuszczać z jego strony, uwiedzenie biednego dziewczęcia. Mówi on wprawdzie nieraz dwuznaczniki i tłuste żarty, ale w nich przebija raczéj wstręt i wzgarda do rozpusty, aniżeli skłonność do niéj. Piosnka i słowa Ofelii, w scenach obłąkania, są to ułomki tych samych piosnek, które śpiewała w chwilach samotnych, marząc o miłości. Wiadomo zaś wszystkim, że temat uwiedzenia w piosnkach ludowych, dość często się nawija. Trzeba tylko przenieść się w owe czasy, tak dalekie od nowoczesnéj pruderyi, żeby zrozumieć, iż Ofelia, nie będąc już dzieckiem, nie robiła sobie skrupułu w powtarzaniu trochę dwuznacznéj pieśni. Może w samotności śpiewała ją nieraz, têm więcéj, że sam ojciec straszył ją niebezpieczeństwem uwiedzenia ze strony Hamleta. I Desdemona, czysta męczennica wierności małżeńskiéj, pociesza się w smutnéj chwili niemniéj dwuznaczną piosnką, a to bynajmniéj na żadne krzywdzące domysły naprowadzać nie może.—Słodka, poetyczna postać Ofelii, budziła zawsze najgłębsze w widzach i czytelnikach współczucie, a Szekspir nigdyby się tego nie dopuścił, by splamić własny tak prześliczny utwór.

Reszta osób dramatu, w charakterystyce swojéj, nie zawiera w sobie nic takiego, coby nie było zrozumiałêm dla bacznego czytelnika. Ojciec Ofelii Poloniusz, Rozenkranc i Gildenstern, oraz Ozryk, przedstawiają obraz dworu, korzącego się nowemu władcy, dworu, który niemało przyczynił się do pessymizmu Hamleta i któremu też ten odpłaca się hojnie wzgardą i szyderstwem. Szczególniéj znakomicie przeprowadzonym jest Poloniusz, dworak czczy i nizki wewnętrznie, z bardzo poziomemi zasadami moralnemi, a przybierający niezwykłą godność, w którą wierzy tak mocno, że nie poznaje się wcale na szyderczych żartach Hamleta. Ma on się za jednego z tych bardzo przenikliwych i rozumnych ludzi, którzy *boczkiem zachodząc umieją trafiać do celu*, a nie widzi, że jego plany wydania Ofelii za Hamleta, opierają się na czystém złudzeniu, bo obłąkanie królewicza ma inne przyczyny, niż miłość, jak to sądził. Uporczywość, z jaką chwycił się téj myśli, mimo wyraźnych dowodów, gotuje mu zgubę. Niebo, mówi Hamlet do matki, skarało mnie nim, a mną jego. Laertes, syn jego, jest przeciwieństwem Hamleta;—skory do czynu, nawet bez namysłu, nie przebiera w środkach, daje się użyć łatwo za narzędzie chytremu królowi. Klaudyjusz, zabójca brata, jest zbrodniarzem, który chciałby po osiągnięciu celu zbrodni, używać bezpiecznie jéj owoców, i dla tego nastraja się do popularności, łaskawości dla dworaków, miłości dla Hamleta. — Szaleństwo królewicza niepokoi go, ale nie pobudza do zbrodniczych zamiarów. Jednakże gdy uczuł nareszcie, że mu maskę zerwano, gdy modląc się nie ma siły wyrzec się posiadania owocu swych grzechów, knuje śmiało i bez oglądania się na nic plany uwolnienia się od wroga, które przeprowadza daleko szybciéj i dokładniéj, niż wahający się Hamlet. Królowa jest poziomą, słabą, zmysłową kobietą. Na krótką chwilę pod naciskiem syna zdaje się skłaniać ku lepszemu, ale to tylko na krótką chwilę. Rozenkranc i Gildenstern, są nędznikami bez charakteru, dającymi się używać za narzędzia szpiegowania. Nie rozumiemy, dla czego Gervinus i Flathe, niemieccy objaśniacze Szekspira, gorąco stoją w ich obronie? Ozryk jest godném dopełnieniem trzech poprzednich dworaków. Możny pan duński, *mający podostatkiem żyznéj ziemi*, jest służalcem dworskim, z amatorstwa; a na pozór mało znaczące pojawienie się jego na scenie, daje znakomity, pełen naturalnego komizmu obraz.

Na zakończenie czujemy się w obowiązku powiedzieć, że ten często powtarzany frazes Woltera o *jatkach*, jakie Szekspir wyprawia w swych tragedyach, który jeszcze dziś niektórzy krytycy tak nierozważnie powtarzają, do Hamleta szczególniéj zastosowanym być nie może. Śmierć osób tu występujących, jest koniecznością zarówno moralną jak i estetyczną.

Bronisław Grabowski.

WIĄZANKA.

Od kilku dni rozlegają się dokoła nas radosne pieśni: *Wesoły nam dzień dziś nastał,—Chrystus zmartwychwstaje,—Alleluja!* a serdeczne życzenia przy podziale święconego jajka, otaczają nas, domy nasze, rodziny i familie atmosferą szczególnéj uroczystości — uroczystości mieszczącéj w sobie i tryumf kościoła i tradycyjną pamięć gościnności. Post się skończył, nadeszła upragniona *Wielkanoc*. Po smutném Wielkotygodniowém milczeniu, po przejmującym zgrzycie grzechotek, zagrzmiały dzwony na *Rezurekcyą*. Tysiące mijącego się po ulicach miasta ludu, z pobożną po grobach pielgrzymką, na odgłos tego spiżowego echa, zapełniły świątynie Pańskie, czekając z rozjaśnioną twarzą hasła, na gwałtem dobywający się z piersi wykrzyk najświętszych uczuć. *Alleluja!* zaśpiewał kapłan. *Alleluja* powtórzył lud, *Alleluja!* przedarło się przez sklepienia murów i wierzyc na świat boży, *Alleluja!* na skrzydłach wiatrów rozniosły dzwony. Panowie, panie, rzemieślnicy, kmiecie, urzędnicy, oficyaliści i służba, wszystko to wraca z rozmodlonêm, z rozpromienionêm obliczem w swe chędogie progi, i jak każe piękny staroświecki, patryarchalny zwyczaj, z pewną powagą i namaszczeniem, dzieli się najprzód symboliczném jajkiem, a potém zaczepia o pachnącą szynkę i najrozmaitszego gatunku mięsiwa. Dla strawności słychać szczęk kieliszków. Mężczyzni nie lubią się z nimi pieścić... kobiety zaś, jako przed stawicielki pieszczot, maczają w nich tylko swe karminowe dzióbki, niby jaskółki muskające skrzydełkiem po powierzchni wody, a gawęda, wesołość, śmiechy dziatwy skaczącéj dokoła stołu i wiele innych jeszcze rzeczy, łączą się, przy akompaniamencie najszczerszych życzeń, w jeden jakiś cudny, domowy, niewysłowionéj wdzięczności swojski ton. Aż serce drży... Rumiane *baby*, arcydzieła cukierniczéj sztuki naszych pięknych i kochanych gospodyń, z dumą spoglądają swemi migdałowémi oczami na cieniutkie a słodkie panny—przepraszam—placki i mazurki, i z wyzywającą, jedne i drugie, kokieteryą, nęcąc podniebienie, domagają się żeby je aż zjeść—z miłości.. Mężczyzni na tém polu nie lubią się zbyt wzdragać... Okrutni! jedzą, piją, kruszą, niszczą w proch cały wielkotygodniowy kłopot kuchennych zabiegów, kuchennych kollekcyj i specyałów, niby barbarzyński Omar bibliotekę aleksandryjską... *Sic transit gloria mundi!* Jeden tylko biały baranek stoi nienaruszony, jak wódz z chorągwią na pobojowisku... Wszystko to piękne — ani słowa. Ale nie zapominajmy też o nędzy... bo nawet i najmizerniejsze biedactwo, mając takież same co i my w piersiach uczucia, mając może żonę i dzieci, pragnie się również z niemi podzielić *święconém*, rozłamać chlebem, uśmiechem, wesołém *Alleluja*. Niechże się uśmiechną, choć raz w roku...

Wielki Poniedziałek, to dzień *szmigusu*, *dyngusu*, czyli oblewania się wodą, dzień przypominający każdemu młode lata, a niejednemu i prawdziwą kąpiel zimnéj wody. Zwyczaj ten, jak wiele innych, zaciera się już u nas pomału, i tylko lud wiejski, nieprzecywilizowany jeszcze zagranicznemi naleciałościami, praktykuje go postaremu w najlepsze, zwłaszcza przy obchodzie z *gaikiem* i *kogutkiem*, śpiewając przytém różne pieśni i piosneczki.

Kto wie, czy przecywilizowanie nie jest gorszém od braku cywilizacyi? Nieucywilizowany lud, przynajmniéj *kocha* to co mu jako barwa swojskości pozostało; tymczasem przecywilizowani nie szanują nic — ani swego, ani cudzego. Słyszałem np. takie zdanie w pewnym salonie:

— Prosze ja państwa, co mi to za święta, co mi za zabawa, chodzić od domu do domu, kłaniać się, kłamać i najeść się zimnych jaj, kiełbas i mięsa z chrzanem? Zagranicą nigdzie tego nie widziałem!

Rodowici Warszawiacy nie znają ani *kogutka*, ani *gaika*, ale natomiast znają to o czém się nawet ubogim prowincyonalnym miasteczkom nie śniło. Są to, poczynając od pierwszego święta, tak zwane *zabawy ludowe*, mieszczące się przeważnie na placu Ujazdowskim, a nęcące do siebie chciwych wrażeń mieszkańców niezliczonymi figlami i rozmaitemi rozmaitościami. Tysiące ludu ciągną i wzdychają do nich, niby Mahometanie do Mekki i do Allahowych hurysek. Przedewszystkiém zwraca tam oko roboczéj młodzieży, wysoki, gładki słup, uwieńczony całym garniturem ubrania, z zegarkiem i pieniędzmi, przeznaczonemi dla szczęśliwego i zgrabnego zdobywcy. Rzemieślnicy, czeladnicy, chłopcy, starzy, młodzi, lokaje, szwaczki, praczki, kucharki, stróże, młodsze i niemłodsze, kręcą się na karuzelach, huśtają na huśtawkach, wierzgają na djabelskich młynach, łamią karki, zbijają nosy, zwiedzają panoramy, podróże naokoło świata, otwierają gęby na widok olbrzymów zmieniających się w karły i naodwrót, śmieją się do rozpuku przy pantominach dzikich ludzi, dziwią się niepojętym kuglarstwom, czarodziejstwom i hecom, jedzą, piją, lulki palą, tańczą przy odgłosie najróżnorodniejszéj muzyki, a po têm wszystkiém chłodzą się wodą sodową, pomarańczami i czémś—czémś—nazywającém się tam pączem, dla tego chyba że pływają w nim pestki cytryny, a kosztującém 2 grosze szklanka, i wracają wieczorem do domów... z pustkami w kieszeni, z rozmarzoną głową, z drga-

jącém sercem, jedni gruchając do siebie, drudzy kłócąc się i bijąc na zakończenie.

Ale zostawmy baby, szynki, wędliny, placki i hece w spokoju, a przejdźmy teraz do uroczystości ducha, do pokarmów uczucia i umysłu.

Z *koncertów* zanotować nam tylko przychodzi, odbyty w d. 29 z. m. 13-to letniej pianistki panny Florentyny Fridenthal, uczennicy p. Ignacego Krzyżanowskiego.—W Kielcach, gdzie zamyślają urządzić, za śladem Warszawy, Towarzystwo Muzyczne, Stowarzyszenie spożywcze i kassę pożyczkową, słychać o przedstawieniu amatorskiém, dramatyczno - muzyczném, na dochód niezamożnych uczniów tamecznego gimnazium, a prócz tego i o kilku jeszcze odczytach.—

Z *teatralnych* rzeczy, przedewszystkiem wspominamy o przedstawieniu u nas w dniu 24 marca, na benefis p. H. Modrzejewskiej, tragedyi Szekspira „Hamlet“. Arcydzieło to graném było pierwszy raz w Warszawie d. 28 marca 1799 r. pod entrepryzą pani Truskalskiej, a ostatni raz d. 31 stycznia 1831 r. Tytułowe role grali obecnie: p. Królikowski i p. Modrzejewska.

Józef Rychter b. artysta tutejszéj sceny, występował w drugiéj połowie z. m. w teatrze w Poznaniu i przyjmowany tam był z wielkim zapałem. Przyjaciele i wielbiciele jego talentu ugościli go składkowym obiadem, oraz obdarzyli pamiątkowym albumem i puharem srebrnym.

Dnia 2 b. m. odbyło się w teatrze Wielkim przedstawienie, na rzecz zakładu dobroczynnego *Przytuliska*, siedmiu żywych obrazów, z nowo napisanego poematu Deotymy: „Wanda“.

Aleksander hr. Fredro (syn) napisał dwie nowe komedye: *Mentor*, graną niedawno po raz pierwszy we Lwowie — i *Consilium facultatis.*

Z dalszego ciągu *prelekcyj*, na korzyść niezamożnych studentów tutejszego uniwersytetu, zasługują na szczególniejszą uwagę: prof. Girsztowta *o zawiązku i rozwoju zakładów dobroczynnych* — i prof. Jurkiewicza *o srebrze*, bardzo ciekawa i pożyteczna. — Prócz tego w d. 26 z. m. p. Konstanty Wzdulcki miał odczyt w Dobroczynności p. t. *Pogląd na pisma edukacyjne ks. Feliksa Dupanloup, biskupa orleańskiego*, a pani A. Marczewska w zakładzie nauki dla kobiet p. Szmidt: *o postaci Dziewicy orleańskiéj.*

Na Wystawie Sztuk Pięknych przybyły następujące nowości: *krajobraz z Białowieżskiéj puszczy*, A Strzałeckiego. *Chłopiec zabijający węża*, A. Sawickiego. Dwa *portrety* damy i mężczyzny, narysowane pastelami przez pannę Dukszyńską. *Widok Sukiennic w Krakowie*, przez Gryglewskiego. *Góral*, Kotsisa. *Madonna* i *Dominikanin*, T. Góreckiego. *Plebania w Capri*, krajobraz Suchodolskiego. — W oddziele rzeźby wystawione zostały: dwa popiersia z marmuru p. Syrewicza, i medaljon, portret dziewczynki, Klossa.

W N. 62 *Gazety Polskiéj*, p. J. L. Kaczkowski przedstawia, bardzo słusznie, potrzebę zakładania *Lombardów* w miastach prowincyonalnych, a to w celu udzielania pożyczek, dla niezamożnych klas ludności.

Pomnik mający się wznieść w Petersburgu, dla Cesarzowéj Katarzyny II, kosztować będzie 297,835 rs. i kop. 45.

Z ruchu literackiego godne są uwagi fakta:

Nakładem Gebethnera i Wolfa wyszło nowe wydanie *Historyi Starożytnéj*, A. Zdanowicza.

Dnia 24 z. m. wyszedł II-gi zeszyt *Kolców*, pisma humorystyczno-satyrycznego, odznaczający się prawdziwym dowcipem i doborem artykułów. Zarzucićbyśmy tylko mogli, w wierszu p. B. Aspisa, chorobliwe miotanie się na wszystko. Po co np. ta zjadliwa wyprawa na *Pola?* Jestto wybranie się z motyką na słońce... W. Pol, autor Mohorta, będzie zawsze Polem, a pan Aspis będzie tylko utworem tego, co sam o sobie ogłosił w *Kurjerze...*

Opuścił prasę *Przewodnik Informacyjno-Adresowy*, na rok 1871, wydawnictwa p. Dzierżanowskiego,

Dr. Jan Karłowicz, wstępując w ślady: Czarnockiego, Gołębiowskiego, Paulego, Wójcickiego, Łepkowskiego, Balińskiego, Lipińskiego, Kolberga i w. i. wydał niedawno broszurkę p. t. *Poradnik dla zbierających rzeczy ludowe.*

FRASZKA.



— Śliczne masz dzieci, Olimpko. Jak dwie krople wody podobne do ciebie i do twego męża.

— O, bardzo—bardzo. Ale imaginuj sobie, coby się z niemi stało, gdyby mój mąż był się ożenił nie ze mną, ale z tą nieznośną Kamillą... Okropność..

Wkrótce ma wyjść na widok publiczny, bardzo poszukiwane i od wielu lat wyczerpane dzieło Lubienieckiego p. t. *Nauka pszczolnictwa.*

Pan J. Ochorowicz wydaje trzecią część swoich *Pytań psychologicznych XIX wieku* p. t. *o wolności woli, ze stanowiska ostatnich badań.*

Gazeta Kielecka, postępując coraz bardziéj w dobrze zrozumianém zadaniu pisma prowincyonalnego, drukuje w swych szpaltach oryginalną dwuaktową komedyą: *W Samą porę*, przez J. K. S.

W tych dniach wyjdzie z pod prasy dziełko pod tytułem: *Sen Scypiona*, tłumaczone z łacińskiego, opatrzone uwagami, oraz poglądem historycznym na rozwój filozofji rzymskiéj, przez H. Sadowskiego.

W Krakowie wyszły następujące utwory: I. Kremera, *o zadaniu młodzieży polskiéj kształcącéj się w uniwersytecie jagiellońskim*;—odczyty, A Bełcikowskiego, *o Irydyonie* Krasińskiego — I. Szujskiego *O wyprawie Cecorskiéj*— i St. Tarnowskiego *O pierwszych romansach polskich.* P. Czaplicki wydał *Pamiętnik dziejów Galicyi i panowania w niéj Austryi* od r. 1848; W. Pol, *Obrazy z życia i natury*;— A Skoczek, nauczyciel, *O szkole ludowéj.*

W Poznaniu z d. 1. Kwietnia r. b. przybyły 2 nowe dzienniki *Orędownik*, pod redakcyą M. Jackowskiego i D-ra Szymańskiego, oraz *Kuryer* pod Redakcyą T. Żychlińskiego. Wogóle, od 1 Kwietnia wychodzi w Poznaniu 9 pism.

W Petersburgu, jak nam donoszą gazety rosyjskie, wielkiéj wrzawy narobiła kradzież mnóstwa dzieł z Cesarskiéj publicznéj biblioteki, dokonania przez Aloizego Pichler.

Napoleon III-ci podczas swéj niewoli w Wilhelmshöhe, napisał studium p. t. *Organizacya wojsk niemieckich.*

Czytelnia Akademicka w Krakowie, w ubiegłym półroczu 1870/$_1$ liczyła członków opłacających składkę 170. Pism peryodycznych było wniéj 56, i zbogaconą została o 105 dzieł w 160 tomach. Obecnie biblijoteka Czytelni posiada razem dzieł 1047, w 1660 tomach.

Jan Turgeniew znakomity rosyjski powieściopisarz, autor *Dymu*, zachwyca w Petersburgu, licznie zbierającą się publiczność, swoimi odczytami.

Z prawdziwą przyjemnością przychodzi mi naznaczyć fakt, że rodzice dbali o wychowanie swych dziatek, w ostatnich czasach jęli się szczerzéj nieco do umysłowego ich w kółku domowém ukształcenia. Miarą tego pocieszającego zjawiska jest *Przyjaciel Dzieci.* Pismo to, zostające pod staranną redakcyą J. K. Gregorowicza, zarazem redaktora Tygodnika Mód, w początkach b. r. rozchodziło się zaledwie w 1000 egzemplarzy, — obecnie zaś rozchodzi go się 2000 egzemplarzy. Dobry to znak. Nie żałujmy nigdy grosza, gdy chodzi o zbogacenie główki dziecięcia.

Upoważnieni listownie przez autora i wydawcę, rozpoczniemy w przyszłym Numerze Opiekuna Domowego druk zajmującéj i z werwą napisanej powieści T. T. Jeża, p. t. *Opowiadanie Stasia*,—

Dziwnie się plecie na tym bożym świecie. Rozpoczęliśmy niniejszą Wiązankę od *Alleluja*, a zakończymy ją żałobném *Requiem.*

Dnia 15 z. m. umarł w Londynie Levis Doxat, najstarszy wiekiem dziennikarz angielski. Żył lat 98.

Dnia 19 z. m. zmarł w Heidelbergu w 66 roku życia, Jerzy Gotfryd Gervinus, jeden z najznakomitszych niemieckich uczonych, historyk, literat polityk, i autor studiów o Szekspirze.

Dnia 25 z m. przeniósł się do wieczności, w Poznaniu, ks. Franciszek Stefanowicz, tameczny biskup-sufragan. Żył lat przeszło 60.—

△

Do dzisiejszego Nr. **Opiekuna Domowego**, w miejsce Czytelni Domowéj za r. 1871, dołącza się, dla wszystkich stałych rocznych i kwartalnych prenumeratorów, powieść ***Michała Bałuckiego***, p. t. Żydówka.

Wydawca, MIECZYŃSKI ADAM. — Дозволено Цензурою. 25 Марта (6 Апрѣля) 1871 г.— **Redaktor,** STANISŁAWSKI OSKAR.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b.*